

Jak się nakreca „Obronę Częstochowy” W wytwórni Rymo-film

Więc jednak nie próżnują — więc jednak coś się robi w królestwie polskiego filmu. Nietylko farsy z życia głupków i półgłupków, nie tylko melodramaty, ale coś naprawdę polskiego, coś co ma związek z chmurą i górną przeszłością Polski.

Gdzieś na krańcach Wolskiej, w skromnym niepodobnym do hooly wodskich, ani berlińskich — studio „Sfinks” kończy się nakreślenie historycznego filmu „Obrona Częstochowy”. Po nadspodziewanym sukcesie filmu religijnego „Pod Twoją obronę”, (przy jego realizacji i opracowywaniu scenariusza pomagał jedynie polski filmowiec — w sutannie ks. M. Mościcki), postanowiono zrealizować drugi, już na większą skalę miarę obraz historyczno-religijny, a mianowicie uwieczniono na filmie bohatera, nie mający sobie równego w dziejach fakt cudownej obrony Częstochowy.

Wielki hangar ze stropem z ciemnego płótna tonie w mroku. Skrzypią deski, na drabinie stoi malarz i macha pendzlem na płótnie, wyobrażając sobie ścianę katedry; w budce oszklonej siedzi przy aparacie łowiący dźwięki młody człowiek w baskijskim berecie. Rusztowania, stoły na krzyżakach, krzesła i fotele, niebdale porostawiane. Wśród mechaników w kitlach płaczą się szlachciwe w majestatycznych płaszczach, z futrzanymi kołnierzami, i w czapkach z czapkami kitami. W głębi mrocznej hali ustawiono kamienną, sklepioną izbę klasztorną. W tej celi jakby żywym przeniesionej z częstochowskiego klasztoru, — stoją Paulini brodaci, w białych habitach, a przy stole Zamowski w bogatym kontuszu, knuje spisek z łysym panem ubranym według mody 1934 roku. Na dachu tej zabłakanej celi, w mglistej poświacie kłęczy człowiek w niebieskim kaftanie i coś majstruje przy aparacie, podobnym do metalowego pajaka. Kilka takich owadów, na cienkich nóżkach promieniuje światłem, które zmienia się i natęża według rozkazu. To jupiterzy.

— Zamowski — założyć nogę na nogę! — ryczy jeden z cywilów tańczących wokoło tajemniczych aparatów, na kółkach. — Żyj pan troszkę! — woła pomocnik reżysera Merwiński, w brązowym garniturze — i daje susa w kierunku jednego z Paulinów, który niepomny na to iż Szwedzi się zbliżają do Częstochowy, drzemie błogo w sztucznym słońcu, wsparty się o mur z dyktu i gipsu. Reżyser ciągnie go za brodę poprawia mu kaptur, i podnosi rękę z różanicem.

W fotelu obitym wytłaczaną skórą rozsiadł się pan w beżowych sportowych spodniach, pochyła rudawą głowę i czerwoną twarz nad rękopisem i coś szepcze na ucho, niskiemu panu o dobrotliwej, a wielce zatroskanej twarzy. To operator Vlassak naradza się z reż. Puchalskim.

Po chwili już są obydwaj poza celą, pozostawiający tamtych własnemu losowi. Vlassak wskakuje na podium na kółkach gumowych, dzwigające machinę z wielkimi, czarnymi słonkami, które są po prostu kasetami z taśmą filmową.

— Jeden, dwa, trzy, cztery — skanduje łysy pan.

— Pięć tysięcy! — wrzasnął mechanik.

— 22.26.27...

Słońce jupiterów coraz silniejszym plonie blaskiem. W klasztornej izbie jest coraz jaśniej, jakby wschodzące słońce zaczęło nagle prażyć ogniem południa. Lśnią ogolone tony zakonników, migoczą złoście ozdoby na kontuszach i karabelach, czerwone buty Zamowskiego potyskują metalicznie.

— 26... 28... padają numery lamp.

Vlassak wetknął nos w aparat, jakby go całował i jedzie na swojej platformie prosto do komnaty. Ci w habitach modlą się do obiektywów.

— Jak się nazywa ten aparat? — zapytuje szepem szupłego pana w berecie baskijskim.

— „Broising” — odpowiada tamten i zaraz się przedstawia — Mixer jestem, Jankowski.

— Mixer? taki od cociatów?

— Śmieje się — mixer ale nie od truneków, tylko od dźwięków.

Puchalski nałożył na nos okulary i czyta z rękopisu.

— „Jan Kazimierz zrzekł się tronu, na rzecz Karola Gustawa”.

Słychać teraz brzęczenie pszczoły, uparte i namolne. To znak, że aparat w ruchu.

— Stop! — ryczy Puchalski.

W komnacie zjawił się niby duch pomocnik i wyciąga tabliczkę z napisem — 300.

Cisza. Vlassak zlaży z latającego wozu — zakonnik idą w rozsypek i zaczynają gawędzić po kątach, napewno nie o inwazji Szwedów.

— Proszę pana — zwraca się jeden z nich, wspaniały asceta z rozwichrzoną brodą — proszę pana reżysera, ja muszę na kolej. Ja mieszkam w Milanówku. A ja mam popołudniówkę w balecie.

— Cooooo? — syczy reżyser i usiłując nadać groźny wyraz do brotliwej twarzy — cooooo? panu się śpieszy na kolej? Mowwwwww niema. Zakonnik chyli pokornie głowę.

W przerwie zaglądam do zielonej kamery dźwiękowego operatora. Mixer z lubością pokazuje chytre maszyny, które chwytają każdy najsłabszy dźwięk, i uwieczniają go w postaci kreszonek, na brzęku taśmy.

— Gdy próbuję czy się udało — tłumaczy mi pan Mixer — to wcale nie potrzebuje „słuchać” — wystarczy spojrzeć na te kreski.

One mi powiedzą czy trzeba zacząć na nowo. Środkiem taśmy bieć będą zdjęcia fotograficzne.

W tych dwóch kasetach jest po trzysta metrów taśmy, ale na film idzie i 20 tysięcy nie licząc tego co się zmarnuje.

— O — to naprzykład jest mowa — dodaje pokazując mi kreskowany szlak przezroczystej taśmy. — Bardzo patetyczna mowa.

Patetyczność jej objawia się tem, że miejscami kreski stoją ciasno jedna przy drugiej, tworząc mocniejszy podłużny cień.

Z jakiegoś zakamarku wychodzi dostojny mnich, z siwą brodą. Twarz ma powleczone cegląstą szminką. Z wąsami coś nie w porządku.

— Kochanie — wąs mi się oderwał — słyszę jedwabisty głos Adwentowicza. Szare oczy patrzą z wesołym błyskiem, na pana w fartuchu.

Pan w fartuchu zakreślił się na pięcie i wraca bez słów z flaszczyką, pedzelkiem i siwym pęczkiem włosów. Zapachniało eterem. Adwentowicz podnosi głowę, a tamten majstruje mu pod nosem pedzel, poczem przylepia delikatnie siwe klaki.

— Jak pan się czuje w roli gwiazdy filmowej — zapytuje wspaniałego mnicha.

— No cóż — to w każdym razie ciekawe zajęcie — odpowiada z uśmiechem, nieco pobłażliwym.

— Ciekawe bo takie inne, niż nasz teatralny zawód. Tam przeżywa się każdą rolę — jest ciągłość akcji, niema nielogicznych przerw, tutaj wszystko fragmenta ryczne, niespodziewane, nagłe jak katastrofa.

Machinalnie schował dłoń w szerokie rękawy — zupełnie zakonnym ruchem. Już wszedł w skórę Kordeckiego. Ma nawet jakiś taki dostojny, a łagodny sposób trzymania głowy — nieco z wysoka.

— Chwilami zdaje mi się, że jestem tygrysem w klatce, który czeka na pogromcę. Pogromca zjawia się w nieoczekiwanym momencie, da znak trzciną i tygrys będzie musiał skoczyć na arenę.

W zawodzie filmowym trzeba być nieustannie gotowym do skoku. Reżyser rzuci hasło i zaraz, trzeba na przestrzeni paru minut wczuć się w rolę bohatera, lub ofiary, trzeba z wesołym nastrojem wpaść w radosny, w krótkim oderwanem zdaniu zwracać dramat, jaki szarpie duszę.

— To trochę męczące, to bardziej żąda nerwy, niż przeżycie na scenie. Ale ciekawe... Ciekawe... Powtarza swoim pięknie modulowanym głosem.

Nie zdaje sobie sprawy, że on i tutaj przeżywa po aktorsku tragedię Kordeckiego, bo nawet w przerwach zdjęć, w antrakcie, gdy mówi „kochanie — zgubiłem wąsy” — mimowoli porusza się i patrzy, jak ojciec Paulin Kordecki. Inni natomiast wskazują w rolę, jak w wodę i wylażą z niej, gdy zabrzmi słówko: Stop. Dostę.

— Możemyśmy zrepetowali — woła nieustraszone reż. Puchalski i biegnie włączyć celi (ta nieustanna ruchawka trwa od pięciu miesięcy).

— Zakonnicy, szlachta, — jęcza — woła pomocnik.

W hangarze zaroilo się — pan z rękami umazanymi szminką, gwałtownie oblepia nos szlachciwą cegląstą farbą, poprawia mu wąsik przylepiony mastyksem i wypycha jasnie pana, na scenę.

Dzwonią ostrogi statystów w sobolowych płaszczach. Znowu ruszył z miejsca aparat na kółkach, z Vlassakiem miłośnie obejmującym czarną skrzynkę z okiem.

Adwentowicz siada w fotelu, przy stole. W jednej chwili twarz mu się przelata — jakby promieniowała wewnętrznym blaskiem. Patrzy natchnionym wzrokiem przed siebie, niby urzeczony niezmiernym widokiem.

— Duuuuuu — zawyla trąbka.

Puchalski już się potoczył, jak kula w kierunku komnaty, szeleszcząc rękopisem. Jupiterzy rozpalają pożar światła. Na łysinie reżysera zatańczył figlarny re-

leks.

— Szlachcie z lewej strony, niech szerzej nogi rozstawi, z wyrazem — oo — tak — komenderuje Vlassak, zgięty w pałąk ze skrzynią czarną zamiast głowy.

Jednooki cyklop z soczewką zamiast oka.

— Gotowe — Baaaaaaczność!

— Ja nie gotów — odzywa się głos z budki „dźwiękowego”.

— Drzwi zamknąć! — Wyje mechanik z dachu.

Ktoś przeleciał z tabliczką numer 104.

W budce pstryknęło.

Hangar zaległa cisza. Cisza śmiertelna.

— Ojej — pisał któryś z filmowców — pełno dzieci w podwórzu. Rozgonić.

Ale to nie były dzieci, tylko dwie kumoski gdzieś na ulicy. Nikt ich nie usłyszał, tylko spec od dźwięków wyczuł przewrażliwionym uchem daleki, stłumiony jazgocik.

Znowu zatrzębało jęklawie, żałośnie. Duuuuuuu...

Potem cichuteńkie brzęczenie. Drrrrr...

I po chwili z cizy wypływa głęboki, dźwięczny głos Kordeckiego — Adwentowicza.

— Na Booooo! — Szwedzi!... Stop!!

Koniec. Gasną słońca, zapada zmierzch. Paulini uciekają podnosząc habity, a najszybciej pędzi ten, któremu się śpieszy na kolej, na własne imię.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

el-ce.

Bezkrywawy pojedynek w SiM'ie

Nie na ubitej ziemi, jak każe tradycja, lecz na małej scenie przemiej kawiarni artystycznej S. i M. odbył się w dniu wczorajszym w obecności licznych widzów pasjonujący pojedynek pomiędzy groźnymi, bo sprawnie władającymi swą bronią przeciwnikami, artystycznym smakiem Polski i Francji.

Oczywiście, szło im o kobiety, i to nie o byle kogo, o samą panią Modę, osobę niezbyt solidnego prowadzenia, płochą, ziemianą, lecz cieszącą się taką popularnością i powodzeniem, że mogłoby go Jej pozazdrościć najsłynniejszy trybun ludowy i dyktatorzy.

Oryginalną cechą pojedynku była obecność jednego tylko sekundanta, w osobie p. Well, która łamiąc znów tradycję milczenia, komentowała każde posunięcie obu przeciwników, przynajmniej należało, że bezstronnie i sprawiedliwie. Widzowie orzekli jednogłośnie, że było na co patrzeć. Czerdziej kilka modeli, areydziej lekkoj ręki szermierzezy twórców, uśiłowali prześcignąć się w guście, wytworności, i co najważniejsze, że przy zachowaniu wszystkich kanonów mody w... celowej oszczędności. Na oczach publiczności skromna suknienka popołudniowa, czy kostjumik, zamieniali się, dzięki odpieciu kilku klamerek czy guzików przy staniu, a po zgrabnem doczepieniu fal-

bany lub tuniki w strojną wieczorową toaletę. Bywały też sytuacje odwrotne, gdy ośniewając nagie ramiona i plecy przykrywało się figarioną z tak modnego „perle”, bluzeczką czy fantazyjnym kołnierzem, za dotknięciem różdżki magicznej znikła długa plisa u dołu, przynajmniej baskinę i strojna przed chwilą pani mogła ujść za wzór skromności.

Były tam utwory piękne i nie wzbudzające zachwytu, w obu obozach. Jedno jest niezbitym faktem, Paryż nie pognębił Warszawy, niejednokrotnie na estradzie figurowały dwie kreacje: Drecolle'a, Roehes czy Jeloung'e'a, i tuż obok projektowane przez Jakimowiczównę, Dobrzyńską, Kuczborską czy innych malarzy polskich i jednogłośnie palme pierwszeństwa zdobywał model polski. Jest to duży sukces na tem polu i pomyśl skonfrontowania kreacji zagranicznych z polskimi, umożliwiający leżenie zebranych panom przekonanie się naoczne, jak dalece z powodzeniem możemy konkurować z koszlennym importem cudzoziemskim — jest wyjątkowo udatny i zasługujący na wyrazy uznania dla organizatorki rewy, artystki-malarki i dekoratorki p. Zofji Arciszewskiej Raczyńskiej.

Rewia Mody będzie dziś wieczór powtórzona w SiMie, Królewska 11. Początek o godz. 8 i pół, wstęp zł 2.20.

Kronika sądowa

CALEK-TUSZYŃSKI SKAZANY

Warszawa. — Po całodziennym rozprawie w Sądzie Okręgowym zakończony został proces b. szanosa Calka-Tuszyńskiego, oskarżonego o fałszywe doniesienie, złożone władzom wojskowym na trzech rabinów wojskowych.

Sąd uznał, że Calko nie przeprowadził dowodu prawdy, że zarzuty, jakie sformułował pod adresem rabinów, nie są słuszne i skazał go za fałszywe oskarżenie na 6 miesięcy więzienia.

KRWAWY KALISZ

Warszawa. — Sprawa groźnego bandyty, Szymona Kalisza, znalazła się znowu w Sądzie Apelacyjnym. Kalisz stał na czele krwawej szajki zbójczej i ma na sumieniu wiele zbrodni. M. in. wymordował on całą rodzinę właściciela w okolicy Mińska Mazow. Z pogromu ocalała tylko służąca, nazwiskiem Krogulówna, i ona poznała w Kaliszu jednego z napastników. Obie instancje skazały Kalisza na bezterminowe więzienie. Ponieważ jednak Sąd Najwyższy skasował ten wyrok ze względów formalnych, Sąd Apelacyjny ponownie rozpoznał sprawę bandyty w innym składzie sędziów. Wczoraj sąd po raz drugi skazał bandytę na dożywotnie więzienie.

SPRAWY LITWINÓW

Wilno. — W okręgu wileńskim Sąd Okręgowy rozpatrywał dwie sprawy kierowników bibliotek litewskich towarzystwa oświatowego „Rytas”. W pierwszej sprawie oskarżony był Alfons Bejnara, kierownik biblioteki w Rudni, o nielegalne nauczanie i przechowywanie nielegalnych druków. W drugiej sprawie odpowiadał Władysław Pundis, również kierownik biblioteki litewskiej, oraz prezes oddziału towarzystwa św. Kazimierza, Gwidon Martynas w Świecicach. Oskarżeni byli o przechowywanie niedozwolonych druków. We wszystkich tych sprawach zapadły wyroki uciążliwe.

WIELKI PROCES KOMUNISTÓW

Poznań. — W Sądzie Apelacyjnym toczył się wielki proces komunistyczny. Ogółem pod zarzutem przynależności do partii komunistycznej znajdowało się 32 osoby, w większości żydzi. Akt oskarżenia zarzucał podstępnie również wywołanie w Kaliszu i w okolicach rozruchów komunistycznych oraz organizowanie masówek i kolportaż nielegalnej bibuły. Sąd Okręgowy na rozprawie w Kaliszu skazał wszystkich komunistów na kory od 6 miesięcy aresztu do 5 lat więzienia.

Z kraju

LWÓW

B. student włamywaczem. Stanisław Juszcak, ex-student Politechniki, po wypuszczeniu z więzienia za włamanie do biur Politechniki, znowu dał znać o sobie, dokonując włamania w Stanisławowie do biur biskupstwa grecko-katolickiego oraz do mieszkania niejakiego Goldsteina, gdzie ostatecznie powinieli mu się nogę i został aresztowany.

KATOWICE

Ujęcie sprawców napadu na listonosza. W tych dniach policji śląskiej udało się nareszcie ująć bandytów, którzy dokonali napadu na listonosza oraz posterunkowego P.P. Jak wiadomo, policjant i listonosz zostali podczas napadu zabici. Nazwisk, z powodów zrozumiałych, narazie policja nie podaje. Opryszków osadzono w więzieniu w Katowicach.

Plenipotent ks. Pszczyńskiego na wolności. Przebywający w więzieniu dr. Trenczek, dyrektor zakładów przemysłowych ks. von Plessa, został z dniem wczorajszym zwolniony po złożeniu kaucji w kwocie 200.000 złotych.

Sprawa posła Ochmarty. Komisja regulaminowa Sejmu śląskiego, dobijając nad sprawą wydania pos. Ochmarty z klubu niemieckiego, zdecydowała o zwróceniu się do wydziału skarbowego, celem zażądania akt, do tyjących posła Ochmarty.

CZĘSTOCHOWA

Górale i huculi na Jasnej Górze. Wczoraj Częstochowa gościła wydział górali i huculów, którzy w liczbie około 1000 osób przybyli na Jasną Górę. Po skromnym posiłku, urządzonym w poczekalni kolejowej, przez miasto przebiegnął barwny pochód huculów z własną orkiestrą na Jasną Górę. Mili goście byli na Mszy św. oraz na nroczystości odsłonięcia

endownego obrazu. Następnie wydział zwiedził osobiście klasztor, poczem wrócił na dworzec kolejowy, udając się spowrotem do Krakowa.

Samobójstwo mordercy. 40-letni Antoni Muc wtargnął w niedzielę do mieszkania Lachowieckich i mając się pięknie z gospodarzem w sprawie zatargu o mieszkanie, strzelił z rewolweru do Lachowieckiego, poczem zbiegł i ukrywał się przez dwa dni. We wtorek wczesnym rankiem Muc znalazł się na dworcu kolejowym, zamierzając uciec z Częstochowy. W pewnej chwili zauważywszy, że zbliżają się do niego policjanci celem aresztowania, Muc szybkim ruchem wyjął rewolwer i celnym strzałem pozabawił się życia.

CHORZÓW

Nieudany zamach włamywaczy. W poniedziałek w noc włamywacze weszli przez okno do piwnicy przy ul. Sobieskiego, poczem po wybieniu otworu w suficie dostali się do Banku Ludowego. Włamywacze wywiercili w kacie otwór żelaznym świdrem, lecz spowodu grubej ściany, do wnętrza się nie dostali. Jak widzimy, włamanie zakończyło się kompletnym fiaskiem.

Powrót kapłana z bolszewickiego piekła

WILNO, 14. 11. (tel. wł.). — Na granicy polsko - sowieckiej ze Stolpce w drodze do Włoch przejeżdżał O. Ludomir Krasinski, skazany w r. 1929 na 10 lat więzienia za działalność kontrrewolucyjną. Po odsiedzeniu 5 lat, władze sowieckie darowały O. Krasinskiemu resztę kary i pozwoliły na opuszczenie Rosji. O. Krasinski udaje się do Włoch na kurację.

Sport

Pilka nożna